ROCZNIK IV. Nr. 4 (77) 15 LUTEGO 1905.

NOWE SŁOWO

DWUTYGODNIK
SPOŁECZNO-LITERACKI

REDAKCYA: KRAKÓW, RYNEK 13.
ADMINISTRACYA: GRODZKA 50.

TREŚĆ:



PRENUMERATA WYNOSI KWARTALNIE: 3 KORONY; 3 FRANKI 50 CENTIM.; 3 MARKI; 1 RUBEL 50 KOP.

GŁÓWNY SKŁAD NA WARSZAWĘ:
KSIĘGARNIA G. CENTNERSZWERA I SKI, MARSZAŁKOWSKA 143.

   

WSPÓŁUDZIAŁ W SAMORZĄDZIE.

Zasada, równości wszystkich obywateli wobec prawa, i powołanie ogółu do przyjęcia udziału w prawodawstwie, pociąga nieodwołalnie za sobą przyznanie prawa do samorządu, dla wszystkich grup społecznych, począwszy od państwa a skończywszy na gminie, a nawet poszczególnych w niej urządzeniach.

Wszystko, co stanowić ma o warunkach bytu i rozwoju jednostek i całego narodu, musi być przez jednostkę wymiarkowane, rozważone i rozstrzygnięte, z uwzględnieniem jej dobra – a potem jako wyraz zbiorowej woli, dla dobra ogółu z jednostek składającego się, jako prawo ustanowione.

Wymiar podatków i rozdzielanie publicznego grosza, szkolnictwo, stosunek pracy do kapitału, urządzenia zdrowotne, opieka nad małoletnimi i niezdolnymi do pracy, i wiele innych spraw najściślej z życiem jednostki związanych, i przeważny wpływ na dolę jej wywierających, są już dzisiaj we wszystkich krajach kulturalnych przez jednostkę tę rozstrzygane – za pośrednictwem prawa wyborczego – które każdemu obywatelowi daje możność stanowienia o swoim losie, przez wybranego zastępcę, lub występowania w obronie większej grupy współobywateli, jako wybrany przez nich rzecznik.

Aby prawo to nie było złudną i kłamliwą komedyą, dającą tylko pozór równouprawnienia obywatelom jednego społeczeństwa, a w istocie oddającą jednych, w mniejszą lub większą zależność od drugich — zazwyczaj ogromną większość, od małej garstki uprzywilejowanych, musi ono mieć pewne warunki gwarantujące za jego istotną wartość.

Prawo wyborcze powinno być przedewszystkiem powszechne — to znaczy, że wszyscy dorośli ludzie, bez różnicy płci, powinni mieć współudział w samorządzie gminy, prowincyi i kraju, do którego należą, za pośrednictwem wybranych przez siebie przedstawicieli.

Każdy wyjątek z tej zasady jest krzywdą jednostki i podeptaniem sprawiedliwości. Człowiek zdolny do pracy, na jakiemkolwiek jest stanowisku, spełnia pewne obowiązki względem swego społeczeństwa, za co należą mu się pewne prawa, bo niema obowiązków bez praw i praw

bez obowiązków. Ten, który jest do pracy niezdolnym, a więc przez chorobę, wiek, kalectwo i t. p. pokrzywdzonym, winien mieć także swoich przedstawicieli, którzyby się za pokrzywdzeniem jego ujęli i obmyślili ulgę jego doli.

Ale i powszechne prawo wyborcze, nie odpowiadałoby idei sprawiedliwości, gdyby nie było jednocześnie równem, to jest dającem każdej jednostce, bez różnicy płci, równe szanse pod względem wyboru przedstawicieli. Udowodnić to bardzo łatwo. Jeżeli np. pewna grupa obywateli ma prawo wybrać jednego przedstawiciela na 1200 jednostek, druga zaś ma jednego rzecznika na każdych 12 jednostek, to oczywiście prawo wyborcze tej pierwszej grupy, jest czysto teoretyczne, bo przy każdej sprzecznośni interesów, przedstawiciele jej, zostaną zawsze pobici przez liczebną przewagę przeciwników. Ma to miejsce w tych krajach gdzie prawo wyborcze ograniczone jest na kurye, i to mniej więcej w przytoczonym powyżej stosunku, ograniczającym interesa jednych obywateli a darzące przywilejami innych.

Jedno jeszcze zastrzeżenie koniecznem jest, aby prawo wyborcze dawało obywatelom pewność wyboru, najodpowiedniejszych przestawicieli dla obrony swoich interesów. Musi ono być bezpośredniem. Każdy wyborca może i musi sam oddać swój głos aby uniknąć niebezpieczeństwa, że zastępca czy pełnomocnik wybrany lub narzucony, wbrew jego interesom głosować będzie. Jak opłakane to może pociągnąć następstwa, mamy przykład w Austryi, w której kobiety klas uprzywilejowanych mają prawo wyborcze, ale tylko przez pełnomocników. Te kobiece głosy są przedmiotem handlu, najwstrętniejszej szacherki politycznej — one to przefrymarczone przez nieoględne i nieuświadomione obywatelki, ciężkiem brzemieniem krzywd ciążą na upośledzonych systemem kuryalnym, mniej uprzywilejowanych warstwach społeczeństwa.

Te warunki, opierające prawo wyborcze na bezwzględnej zasadzie sprawiedliwości, byłyby dostateczne, gdyby, prawodawstwo ludowe i samorząd najbliższemi interesami związanych grup społecznych, były faktem dokonanym; ale tak nie jest. Ogromna zależność jednych ludzi od drugich sprawia, że w zależności pozostający, są skrępowani nawet w korzystaniu z przysługujących im praw. Niezliczone dowody na to daje właśnie wykonywanie prawa wyborczego. Wyborca zależny od innego wyborcy, naraża się na niesłychane prześladowania, krzywdy a często utratę stanowiska, jeżeli prawa jego nie chroni tajność, która nie pozwala uprzywilejowanemu przeciwnikowi, zmusić zależnego od siebie wyborcy do głosowania wbrew własnemu interesowi. Tajność przeto jest koniecznem uzupełnieniem prawa wyborczego, tak długo, dopóki przemoc z jednej strony, a bezsilność z drugiej, regulują stosunki między współobywatelami.

Dalszy rozwój społeczny ludzkości, zdążającej do wcielenia w życie idei sprawiadliwości, drogą powszechnego, równego, bezpośredniego prawa wyborczego zahartuje i podniesie moralnie jednostkę na ten stopień wolności duchowej, że każdy obywatel zarówno mężczyzna jak kobieta, śmiało i otwarcie korzystać będzie z przysługujących mu praw, kierując się tylko własnem sumieniem i wolą, a odrzucając wszelkie inne względy zależności czy uległości – wyciskające niewolnicze piętno na czole wyborcy mającego obowiązek i prawo do zupełnie swobodnego udziału w samorządzie. *Marya Turzyma.*

ŚMIERTELNOŚĆ NIEMOWLĄT.

Ogólnie znanym jest fakt, iż conajmniej czwarta część dzieci nieślubnych umiera dla braku opieki i środków utrzymania już w pierwszym roku życia. Niezliczone razy powtarzano w pismach kobiecych i prasie społecznej demokracyi Niemiec, iż na 180.000 dzieci nieślubnych, rok rocznie na świat w Niemczech przychodzących, 60.000 umiera w pierwszym roku życia.

Na 100 dzieci zmarło w pierwszym roku życia w r. 1901: w Petersburgu 35·0, w Moskwie 39·3, w Odessie 23·17, w Stockcholmie 14·7, w Krystyanii 12·4, w Kopehadze 19·5, w Londynie 15·0, w Liwerpolu 18·1, w Manchestrze 17·8, w Dublinie 16·7, w Amsterdamie 14·1, w Leidzie 13·4, w Haarlem 11·1, w Brukseli 15·4, w Antwerpii 16·6, w Paryżu 10·5, w Lionie 13·8, w Bordeaux 11·5, w Berlinie 22·5, w Monachium 24·7, w Lipsku 23·6, wə Wrocławiu 27·8. w Dreznie 17·0, w Kolonii 25·5, w Frankfurcie 15·8, w Norymberdzie 23·4, w Hannowerze 19·7, w Magdenburgu 13·6, w Düsseldorfie 21·0, w Stettin 35·5, w Chemniz 35·0, w Królewcu 25·6, w Charlotenburgu 18·2, w Stuttgardzie 20·4, w Bremie 18·3, w Altonie 23·6, w Elberferdzie 17·1, w Halle 22·2, w Strasburgu 20·2, w Dortmundzie 19·0, w Barmen 14·8, w Mannheim 27·2, w Madrycie 17·7, w Rzymie 11·5, w Neapolu 16·6, w Medyolanie 17·7, w Turynie 15·3, w Wiedniu 17·4, w Budapeszcie 14·2, w Pradze 18·4, we Lwowie 31·7, w Zurychu 12·3, w Bazylei 13·5, w Bernie 12·1, w New-Yorku 19·0, w Chicago 17·1, w Waszhingtonie 27·8, w Buenos-Ayres 10·2, w Rio de Janeiro 19·1.

Sprawą tą, której grozę cyfry wyżej podane jaskrawo oświetlają zajmuje się dr. Hermann Weyl w gruntownym artykule (ochrona niemowląt a gmina) umieszczonym w 11 i 12 num. b. r. (z 10 i 17 grudnia) sztudgardzkiego tygodnika „Neue Zeit“

W artykule tym dorzuca Weyl następujące bardzo ciekawe cyfry

będące dowodem iż stosunki społeczne są przyczyną tak wielkiej śmiertelności niemowląt:

W gandawskiej radzie gminnej udowodnił społeczny demokrata Anseele, iż na 100 dzieci klas posiadających żyje w siedm lat po urodzeniu 90 dzieci, a na 100 dzieci ludności fabrycznej tylko 59. Gdy więc śmiertelność dzieci ludzi zamożnych 10% wynosi, śmiertelność dzieci klasy robotniczej wynosi **41%**.

Według statystyki berlińskiego urzędu statystycznego zmarło w Berlinie w r. 1903 na katar kiszek 3148 dzieci w pierwszym roku życia z czego 423 zmarło w szpitalach a 2725 w domu. Z wymienionych w cyfrze ostatniej mieszkało w kuchniach dzieci 14, w mieszkaniach z jednego składającego się pokoju dzieci 1792, w mieszkaniach składających się z dwóch izb 754. A więc wynika z tego że 2560 wypadków śmierci przypadło na najuboższe mieszkanie, o stanie których następujące świadczą cyfry: 1792 mieszkań o jednej izbie: w 47 wypadkach, izba taka miała 2 mieszkańców w 384 wypadkach mieszkańców trzech, w 498 mieszkańców 4, w 389 – 5, w 228 – 6, w 122 — 7, w 72 – 8, w 23 – 9, w 16 – 10, w 3 – 11, w 3 — 12 mieszkańców.

Cyfry te wprost **przerażające** swoją skargą na społeczeństwo, świadczą jak zamożni byli rodzice tych dzieci, mówią jak troskliwą musiała być opieka nad temi] młodozgasłemi niemowlętami, jak obfitem musiało być ich pożywienie, jak wielką musiała być czystość około tych dzieci.

Weyl podaje cyfr jeszcze kolumny. Wynika z nich jedno. Największa ilość dzieci zmarła na katar kiszek z powodu złego gatunkn mleka im podawanego. Gdziekolwiek zrzeszone siły ludzkie starają się o dobre dla dzieci mleko, tam śmiertelność zmniejsza się. I tak w przeciągu jednego roku zmniejszyła się śmiertelność dzieci na katar kiszek o 1000 w Berlinie, gdzie powstało towarzystwo dla zwalczania śmiertelności dzieci, które bada mleko krów w 170 miejskich stajniach, przez 48 weterynarzy.

Jeżeli ta prywatna inicyatywa niezaopatrzona w dostateczną ilość środków zdołała w tak krótkim czasie dojść do takich rezultatów, to tem większym obowiązkiem i zadaniem gminy jest ujęcie tej sprawy w swe ręce. Społeczno demokratyczni radcy miasta Berlina zajęli się tą sprawą, jeszcze przed laty trzema. Gorącym rzecznikiem ochrony niemowląt był zmarły w grudniu 1904 r. członek niemieckiej demokracyi lekarz dr. Kurt Freidenberg współpracywnik „Gleichheit" organu robotnic niemieckich. Jego pracy owocem jest odnośny program przedstawiony w berlińskiej Radzie miejskiej, jego myślami są wywody dr. Weyla podane poniżej przezemnie w streszczeniu. Zdaniem Freidenberga, który

był lekarzem chorób dziecięcych, dwojakie są przyczyny śmiertelności dzieci. Jedne działają przed ich urodzeniem, drugie po niem.

Do pierwszych należy w pierwszym rzędzie praca fabryczna kobiet znajdujących się w ciąży, do drugich sztuczne odżywianie dzieci. „Ścisłe badania okazały, iż wbrew twierdzeniom niektórych lekarzy mówiących o wzrastającej niezdolności kobiet do karmienia dzieci, w szerokich kołach ludności 90% matek zdolnych jest do spełniania tego obowiązku. Z drugiej strony udowodniono, iż w pewnej mierze zrzeczenie się wypełniania tego obowiązku jest spowodowane nieświadomością hygienicznego znaczenia karmienia dzieci, brakiem dobrej woli i wytrwałości... Bez piersi matki niema absolutnie dobrego pożywienia dla dzieci, gdyż mleko macierzyńskie zawiera środki chroniące krew i kiszki dzieci“.

„Przy pomocy współczesnych technicznych zdobyczy, wywodzi dalej dr. Weyl, rozpowszechnił się w zamożnych kołach zwyczaj karmienia dzieci przy pomocy flaszek. Należy wziąć pod uwagę, iż odgrywa tu pewną rolę ustawiczna kontrola lekarska. Wskutek niej nie daje sztuczne karmienie dzieci tak złych rezultatów u ludzi bogatych jak u proletaryatu. Sztuczne odżywianie dzieci, co słusznie podnosi wielu fachowców, stawia znaczne wymagania, natury pieniężnej, czasu i wiedzy hygienicznej, którym klasa robotnicza podołać nie może. W Berlinie była śmiertelność dzieci żywionych nie samym tylko mlekiem matki, **7,04** razy większa, aniżeli mlekiem matki żywionych. Śmiertelność dzieci tylko mlekiem flaszkowem żywionych była przeciętnie 18,5 razy większą. Cyfra ta podaje liczbę za cały rok przeciętną. W lipcu sierpniu i wrześniu 1901 r. była śmiertelność dzieci flaszką żywionych 25,5 większa aniżeli dzieci piersią odżywianych“.

Jakie więc powinny być żądania stawiane i gminie w omawianej sprawie:

1) Dla kobiet w ciąży się znajdujących, a żyjących z pracy rąk własnych należy urządzać schroniska.

2) Po przyjściu na świat dzieci, należy matkom ułatwiać karmienie ich piersią. W tym celu powinna gmina matki niezamożne wspomagać pieniężnie. I tak daje francuska gmina Rouen niezamożnym matkom karmiącym dzieci, 3 funty mięsa tygodniowo i 6 fr.

Dalej należałoby urządzać zakłady dla położnic, w którychby mogła biedna matka, tak „ślubna jak i nieślubna“ pierwsze 6 tygodni najniebezpieczniejsze dla życia dziecka przepędzić. Ponieważ by to groziło robotnicom, zamężnym mającym już dzieci, pozostawieniem tychże zupełnie bez opieki, więc należałoby zorganizować opiekę domową, zajmującą się pozostawionymi gospodarstwami robotniczemi.

Aby ułatwić już zdrowym, a więc pracującym robotnicom karmienie

dzieci, należałoby urządzać żłóbki w dzielnicach fabrycznych. W żłóbkach tych znajdowałyby się niemowlęta, pod opieką fachowych piastunek, robotnica przychodziłaby je podczas pauz nakarmić.

Znaczną ilość tych robotnic mogłaby zatrudniać gmina, gdyby bieliznę i ubrania, potrzebne dla szpitali, więzień, domów sierocych w własnych zakładach wyrabiała.

Pozostają matki niemogące karmić dzieci. Dla tych najważniejszą rzeczą jest otrzymywanie taniego, czystego i świeżego mleka. „Należy więc wypowiedzieć jako żądanie, iż w interesie otrzymywania hygienicznego mleka należy wbrew prywatnym zarobkowym interesom technicznie nieudolnej drobnej gospodarki mlecznej usunąć produkcyę i dystrybucyę mleka z domowej prywatnej gospodarki“ powiada dr. Weyl powołując się nadto na zdanie wybitnego znawcy stosunków komunalnych dr. Hugo „iż przejęcie przez gminę produkcyi mleka, jest również postulatem hygieny, jak zmunicypolizowanie produkcyi gazu i dostarczania wody“.

Dalszem żądaniem jest ustanowienie fachowej komisyi zajmującej się dozorem dzieci będących na utrzymaniu ludzi obcych. Będzie to miało znaczenie wielkie w walce z śmiertelnością dzieci nieślubnych i sierot.

3) Do trzeciej kategoryi środków zaradczych należy dalej uświadamianie robotnic o znaczeniu karmienia dzieci przez matkę dla dziecka i matki. Zdaniem bowiem wielu uczonych, jak np. monachijskiego anatoma Bollingera rozpowszechnienie się raka piersi, połączone jest ze wzrastającym zwyczajem nie karmienia dzieci przez matkę. Nakoniec zwraca dr. Weyl uwagę na to, iż wymieniona sprawa wchodzi w zakres nie dobroczynności gminnej, a jej zadań społecznych. Dla zrozumienia przytoczyć warto fakt, iż burżuazya niemiecka, odbiera prawo wyborcze tym, którzy korzystają z jej gminnej dobroczynności (Armenunterstüzung).

Widzimy więc program wielki zdążający do usunięcia strasznej klęski społecznej.

Konieczność urzeczywistnienia go, powinna być bodźcem w walce kobiet o dostanie się do gmin a całej klasy pracującej bez różnicy płci, o zdobycie rządów w gminie. *Kaer.*

KORESPONDENCYA.

Płock, w styczniu 1905.

W lecie 1902 roku powstało w Płocku (miasto gubernialne nad Wisłą, mieszkańców w 1903 r. 30.018, żydów mężczyzn 5.229, kobiet 6.400) Towa-

rzystwo opieki nad ubogiemi matkami i ich dziećmi, właściwie sekcya kobieca przy Towarzystwie Dobroczynności. Towarzystwo Dobroczynności właściwie powinno zarządzać wszelkiemi instytucyami filantropijnemi. Wprawdzie nie udało mu się to jeszcze w zastosowaniu do takich zakładów, jak przytułek dla starców i kalek, warsztaty rzemieślnicze, ochronka, kolonie letnie, ale wszystkie te instytucye egzystowały już przed powstaniem Towarzystwa i przeważnie mają swoje zatwierdzone ustawy. Po powstaniu zaś Towarzystwa, któremu ustawa nadaje prawo tworzenia rozmaitych sekcyj i urzędowy protektorat nad mogącemi powstać instytucyami dobroczynnemi, wyjednanie i tem bardziej zatwierdzenie ustawy dla nowego Towarzystwa, napotkałoby prawdopodobnie trudności ze strony władzy wyższej. Że zaś trudno byłoby egzystować bez żadnej firmy, więc postanowiono pozostać przy urzędowej skromnej nazwie „sekcyi damskiej przy żydowskiem Towarzystwie Dobroczynności".

Zadaniem Towarzystwa jest: 1⁰ niesienie pomocy materyalnej biednym położnicom i ich dzieciom i zapewnienie im pomocy akuszeryjnej i opieki lekarskiej; 2⁰, po zaspokojeniu potrzeb ciała — podniesienie ducha, zaszczepienie pewnej kultury w tych gniazdach wszelkiego rodzaju nędzy.

Jakżeż rzeczywistość odpowiada programowi?

W pierwszym roku, jak widać ze sprawozdania, udzielono pomocy 39 położnicom; w tym roku również blisko 40 kobietom (jeszcze miesiąc do zamknięcia roku). Zaznaczyć należy, że wspierane przez Towarzystwo kobiety należą do 2 kategoryj: wstydzących się żebrać i takich, które przez długotrwałą nędzę już się tego wstydu pozbyły. Pierwsze otrzymują gotówkę w ilości od 1 rubla do 8 rubli, przyczem maximum nie jest ściśle oznaczone; z otrzymanej zapomogi same płacą akuszerce, bo zależy im na tem, żeby „nikt" nie dowiedział się o ich nędzy. Drugie dostają taką ilość produktów w naturze (przez 8 dni po 1 funcie mięsa, 1 kwartę mleka dziennie, $^1/_8$ funta herbaty, $^1/_8$ funta kawy, 2 funty kaszy, $^1/_2$ funta masła i 5 pudów drzewa), jaka najzupełniej wystarcza, aby wstały po połogu pokrzepione i mogły zabrać się do pracy; oprócz tego dostają one wsparcie w gotówce — oczywiście stosunkowo mniejsze, i w razie potrzeby, wynajmuje im się na tydzień posługaczkę, która opiekuje się chorą i jej zwykle liczną i niezdatną jeszcze do pracy rodziną. Akuszerkom za tego rodzaju chore płaci Towarzystwo po rubli 2, co jest w Płocku wynagrodzeniem, przyjętem przez domy drobnomieszczańskie nawet nieubogie, ale za to wymaga Towarzystwo od akuszerek czystości i dbałości o chorą i dziecko. Pomoc lekarską obydwie kategorye chorych mają zapewnioną bezpłatną, dzięki ofiarności płockich lekarzy. Wszystkie też obowiązkowo otrzymują bieliznę dla dziecka (2 koszulki, 2 kaftaniki, 4 pieluchy, 3 rogówki) i dla siebie tyle, żeby leżały czysto (niestety, wskutek słabego uposażenia Towarzystwa, zatrzymać mogą tylko bieliznę dla dziecka i dla siebie 1 koszulę, 1 prześcieradło, 1 poszewkę i 1 kaftan barchanowy w zimie, resztę wypraną muszą zwrócić).

Wsparcie i bieliznę otrzymują chore przez pośrednictwo dyżurnej, tj. jednej z 12 komitetowych, która, zawiadomiona przez sekretarkę, udaje się na miejsce, przez tydzień odwiedza chorą, i mając zapewnioną zupełną swobodę działania, wyznacza wsparcie według swego uznania. Sekretarka zaś jest powiadomioną o zaszłym wypadku przez akuszerkę.

Prowadzona ściśle kontrola chorych wykazuje, że przez całe dwa lata o pomoc do Towarzystwa zwracały się tylko kobiety zamężne. Możnaby to poniekąd wytłómaczyć okolicznością, że Towarzystwo samo chorych nie wyszu-

kuje, a wspiera tylko te, które się zgłaszają same, lub przez akuszerkę; dziwnem jest jednak, że akuszerki nie wskazały ani jednej dziewczyny położnicy. Czyż można kłaść ten fakt dziwny na karb większej moralności dziewcząt w małem miasteczku, a właściwie — na ściślejszą kontrolę ich kroków. Pytanie, na które może odpowie świeżo założone w Warszawie Towarzystwo ochrony kobiet.

W historycznym rozwoju naszej instytucyi (jeśli wolno tak się wyrazić o Towarzystwie egzystującem... aż 2 lata), okazała się potrzeba zaopiekowania się niemowlętami. Co robić z niemowlęciem, jeśli matka umiera (były 2 wypadki takie), lub jeśli matka w żaden sposób karmić nie może, lub gdy niemowlę po odstawieniu choruje i nędznieje? W pierwszym wypadku byłby pożądanym żłóbek, ale, wobec szczupłych funduszów, na razie musi on pozostać w sferze projektów; toteż Towarzystwo zadowala się oddaniem dziecka do mamki na swój koszt i zapewniając sobie możność kontroli. W drugim wypadku — oddanie dziecka do mamki jest stanowczo wykluczone, jako uwalniające matkę od jej naturalnego obowiązku; natomiast Towarzystwo zapewnia dziecku do 2 lat życia po 1 kwarcie możliwie dobrego mleka dziennie i po 2 funty cukru miesięcznie. W ostatniem półroczu działalność Towarzystwa w tym kierunku ciągle się wzmaga, tworząc powoli, pocichu, lecz systematycznie, tak ogólnie zwaną obecnie „kroplę mleka", — oczywiście w miniaturze, faktycznie kroplę — wobec nędzy proletaryatu żydowskiego w Płocku. — Każde dziecko, otrzymujące mleko od Towarzystwa, podlega kontroli odwiedzających je opiekunek. Ale za to jest zapoczątkowanie nowe w Towarzystwie, brak więc danych co do rezultatów i podać tu tylko mogę odnośne cyfry. Wydawanie dzieciom mleka zapoczątkowano w maju 1903 roku i wydawano po 30—31 kwart miesięcznie, aż do marca 1904 r. W marcu wydano 62 kwarty, w kwietniu 90, w maju 124, w czerwcu 150, w lipcu 186, we wrześniu 180, w październiku 186 kwart. Cukru w październiku dano dzieciom 12 funtów.

Tak więc pierwsza część zadania Towarzystwa jest wykonywana uczciwie i w dosyć szerokim zakresie, przy nadzwyczajnie szczupłych funduszach Towarzystwa, o których słów kilka:

Towarzystwo powstało z ofiar w naturze, tj. bielizny, której zapas wystarczył na rok z górą, i utrzymuje się: 1° z zadeklarowanych składek miesięcznych (najwyższa 1 rubel, najniższa 10 kopiejek i faktycznie tak jest, że kto nie płaci, to należy już do kategoryi wspieranych), wynoszących przy blisko 200 członkiniach od 39 rb. 2 kop. (w lipcu 1904 r.) do 50 rb. 81 kop. (w październiku 1903 r.) i — 2° z jednorazowych ofiar, składanych przez położnice bogate lub średnio zamożne na rzecz położnic ubogich (najwyższa otrzymana ofiara 25 rubli, najniższa 15 kopiejek).

Towarzystwo posiada rodzaj kapitału zapasowego w ilości około 300 rb. Utworzył się kapitał w pierwszym roku z przewyżki dochodów nad wydatkami, wobec tego, że był duży zapas bielizny. Obecnie bieliznę sprawia się w miarę potrzeby, czerpiąc na to fundusz z zaoszczędzonego kapitału. Co jednak będzie po wyczerpaniu tegoż?

A jak przedstawia się misya kulturalna Towarzystwa? — Niestety, przyznajmy się szczerze, jest żadna. Towarzystwu szło głównie o zaszczepienie poczucia czystości i pewnego ładu, choćby już z tego względu, że czystość jest warunkiem przyjścia do zdrowia położnicy. Ale w tym kierunku bardzo mało dało się zrobić. Z małymi bardzo wyjątkami brud straszny towarzyszy tej nędzy.

Sama chora w świeżej bieliźnie, na świeżo powleczonej pościeli, tworzy miłą oazę, ale do koła -- stół, podłoga, garnki, głowy i ręce dzieci są niemiłosiernie brudne. Usunięcie tej ogromnej otchłani brudu wymagałoby ogromnego zaparcia się siebie i pracy nad siły ze strony dyżurnej. A czyż to możliwe? Sama byłam świadkiem, jak doktór przez parę dni zwlekał operacyę u chorej, obawiając się strasznego niebezpieczeństwa, grożącego jej z powodu wprost niedającego się usunąć z izby brudu – bez gruntownej rujnacyi, co, wobec stanu chorej, było niemożliwem. Oczywiście dobra wola dyżurnej dużo znaczy, ale także wobec tygodniowej zaledwie opieki, rezultat trwałym być nie może. Pod tym względem udatniejszą może będzie działalność pań opiekunek niemowląt otrzymujących mleko od Towarzystwa. Opieka tutaj trwa 1 – 2 lata, i kto wie, czy przez dzieci nie uda się trafić do rodziców i rozpocząć reformy od podstaw. Oczywiście, brud często jest nieodłącznym od nędzy, ale nie zawsze da się nędzą wytłómaczyć, jak pouczają niektóre szczęśliwe wyjątki — wprost idealnej czystości u nędzarzy.

Słów parę chciałabym poświęcić jednej dodatnej stronie naszego Towarzystwa: zainteresowało ono swoją działalnością bardzo duże grono kobiet i wciągnęło je do wspólnej pracy – społecznej, bezsprzecznie szlachetnej i użytecznej, nie pozwala im zasklepiać się w sferze ciasnych spraw domowych, w sferze tak zwanego najszlachetniejszego egoizmu, który, pomimo wszystko, nie przestaje być egoizmem.

Takie poruszenie sumień, taka pobudka do wspólnej pracy w społeczeństwie, gdzie tak dużo jest do zrobienia, a tak mało jeszcze zrobiono, bezwarunkowo może być zapisaną na dobro tej młodej instytucyi.

Franciszka Oberfeld.

NOWE KSIĄŻKI.

Nakładem F. Fontane wyszedł w Berlinie nowy tomik poezyj Ady Negri, opiewający dolę i niedolę, radość i smutek macierzyństwa.

Część tomika przedstawia uczucia matki, która pod sercem czuje nowe życie dziecięcia. W mistrzowski sposób maluje Ada Negri ten nowy zasób uczuć i myśli, napełniających serce i umysł matki, gdy pomyśli o przyszłości dziecięcia. To zdaje jej się, iż ono pragnie przyjścia na świat, iż cieszy się na myśl o życiu na ziemi. To znów przenika ją trwożliwa myśl, iż może życie będzie dla dziecięcia drogą krzyżową, męką. Zdaje jej się, iż dziecię się wzdryga przed życiem na ziemi. Więc uspokaja samą siebie i onemu odwagi dodaje. W drugiej grupie poezyj, przedstawia poetka dolę tych matek, dla których przyjście na świat dziecięcia nie jest zwiastunem szczęścia. Zwracają się one do poetki i żalą.

W chorych noszone łonach, nieszczęsne istoty,
rodziłyśmy na wieczną mękę i zgryzoty.
Krew żył naszych bezbarwną i cierpień kajdany —
dawałyśmy w posagu, dziecinie ukochanej.

Biedactwa, próżno naszej czekały usługi,
dzień był krótki jak chwila, a czas pracy długi;
walka o chleb nam siły ssała do ostatka,
dzieci nasze ulica chowała — nie matka!
W naszych piersiach ból tylko echem dzwonów jęczy...
nad różową kołyską pieśń nasza nie dzwięczy!
Śpiewaj Ty! niech Twe pieśni lecą w dal jak strzały,
aż nad męczeństwem matek świat zapłacze cały!

„By świat poczuł litość dla tego męczeństwa matek“, ma śpiewać poetka ludu. Kreśli więc kilka wzruszających obrazów z życia robotnic matek, obrazków będących oskarżeniem społeczeństwa, które kobiecie, mającej lada dzień zostać matką, każe pracować przy warsztacie tkackim, póki ostatnia nie przyjdzie chwila:

Spędziła w mękach noc — a kiedy brzask na świecie
rozproszył szare mgły — krzyk zabrzmiał dziki, tępy,
jak zwierza krzyk, któremu ciało rwą na strzępy.
Kobieta z bólu mrąc, powiła martwe dziecię.
Więc aby oczy jej nieszczęścia nie ujrzały,
w milczeniu wzięto jej dziecięcy trupek mały.
Trzy dni przetrwała tak, w pościeli leżąc biała,
zastygła w bólu twarz zdała się być kamieniem...
wreszcie czwartego dnia — wicher lodowem tchnieniem
w ulice szare dął — wpół żywa z łóżka wstała,
śmiertelnie blada, drżąc, zwiędłemu równa kwiatu...
widziano ją gdy szła, z powrotem do warsztatu.

Ale nietylko obrazami umie Ada Negri oskarżać. Przemawia wprost do społeczeństwa głosem silnym, śmiałym. Nowy ten tomik świadczy o dalszym pochodzie poetki na raz obranej drodze. Należałoby go przyswoić naszej literaturze.

* * *

Nakładem doskonałego lipskiego wydawnictwa B. G. Teubnera „Aus Natur und Geisteswelt“ wyszła przed kilku tygodniami, doskonała praca znanej w świecie kobiecym dr. Kaethe Schirmachar „Die moderne Frauenbewegung“.

Kto nie ma czasu ani możności przestudyowania obszernego, pod redakcyą Heleny Lange wydanego przed dwoma laty „Handbuch der Frauenbewegung“, powinien zapoznac się z tą małą, nadzwyczaj treściwą pracą dr. Schirmacher.

Nie przedstawia ona teoretycznych podstaw ani zagadnień ruchu kobiecego. Sprawą tą zajmowała się autorka w książce wydanej w Pradze nakładem niemieckiego stowarzyszenia kobiecego. W obecnej swej pracy przedstawia wyniki i dążności kobiet, ich walki i prace. Omawia rezultaty walki o prawo wyborcze, o możność kształcenia się, o przystęp do wszelkich zawodów, o poprawę doli i t. d.

Poczyna od pierwotnej siedziby ruchu kobiecego, od jego kolebki: Ameryki, aby poprzez wszystkie inne społeczeństwa dojść do kraju wschodzącego słońca: Japonii. Szereguje fakt, przy fakcie, wysiłek przy zdobyczy i daje obraz

tak olbrzymiej ilości pracy i tak znacznych wysiłków, iż po przeczytaniu książeczki nawet wróg ruchu kobiecego stanąć musi w podziwie.

Książeczkę należy polecić jaknajgoręcej, choć się nie zgadzam z niejedną mimochodem rzuconą uwagą (ocena Ellen Key, obrona odwiedzin złożonych przez przedstawicielki ruchu kobiecego podczas ostatniego kongresu hr. Bülowowi i innym). Niektóre drobiazgi niezgodne są z prawdą (Curie-Skłodowska rosyanką(!), ale to nie zmniejsza wartości pracy.

W rozdziale o Galicyi niema wzmianki o „Nowem Słowie“, lecz to nie wina autorki, informującej się z pism zagranicznych, lecz tych pań informujących o Polsce, które nie darzą naszego pisma zbytnią miłością. Książeczka w pięknej okładce kosztuje zaledwie 1 m. 25 fen. (75 ct.). *Kaer.*

„Promyka“, wybornego pisma illustrowanego dla dzieci i młodzieży wyszedł Nr. 2-gi. Odpowiadając wymogom nowoczesnej pedagogii zmieniła redakcya od Nowego Roku format pisemka na książkowy, zgrabniejszy i przyjemniejszy od gazetowego. Dwie szpalty niestosowne są w piśmie dla dzieci. „Promyk“ zaprowadził jedną.

Treść „Promyka“ jest nader urozmaiconą i wybraną z nadzwyczajną starannością i znajomością rzeczy. Prawdziwie społecznej potrzebie odpowiada redakcya „Promyka“, zaprowadzając w łamach swojego pisemka stałą rubrykę o bibliografii dla dzieci p. t. „Co czytać?“. Nasza literatura dla dzieci tak pełną jest rzeczy marnych, złych, szkodliwych wprost dla rozwoju dziecka, iż rubryka taka w piśmie dziecięcym jest prawdziwą zasługą.

Również cenną nowość zaprowadził „Promyk“, umieszczając stałą rubrykę p. t. „Ładne i łatwe rysunki“, w której podaje wzory i wskazówki dla samodzielnego rysowania z natury.

„Promyk“ powinien znajdować się w każdym domu, w którym są dzieci. Uczy on myśleć poważnie i bawić się wesoło, stanowi miłą rozrywkę i naukę zarazem, a jest pierwszem polskiem pisemkiem dla dzieci, które ustanowiło cenę abonamentu tak niską, że dostępną jest dla szerokich kół społecznych. Abonament całoroczny kosztuje 2 korony, półroczny 1 koronę, a nawet kwartalnie za pół korony abonować można. Adres redakcyi i administracyi: Lwów ul. Miłkowskiego 11.

EWA ŁUSKINA: DEMON I DALHIA.

Andrzej wziął sobie ze stolika rękę Magdy.

— Mów, mów... — rzekł z cicha.

Magda czuje, że dociera jakichś głębin nigdy nie otwieranych, do jakichś źródlisk pierwotnych, pra-instynktów surowych i prostych, jak ziemia i praca na swej roli.

— Drogi mój... Cóż ci mówić? Chciałabym, żebyś mnie pocałował, ale tak, jak wtedy — dawno... Pamiętasz nasze pierwsze pocałunki? Rozszarpaliśmy sobie wzajemnie serca, byliśmy tak zmęczeni i tak smutni, kiedy przyszła na nas ta chwila najdroższa...

Zamilkła wzruszona.

Było to w zaułku miasta, późno w noc, wśród parcel niezabudowanych i śmietników.

Nigdy się nie nasycą — nigdy! Nigdy nie wyssą sobie z ust wszystkiej słodyczy, z ramion nie wezmą wszystkiej mocy, aż do bezwładu!

Pod szerokim płaszczem ręce jego w pierwszych dotnięciach wyczuwają przez cienką tkaninę kształty jej smukłego ciała — poła jego płaszcza narzucona na ramiona, nawpół kryje jej twarz — niewyraźnie majaczącą matową bielą rysów — cieniami oczu rozwartych chciwie.

— Nie mów nic... Nic nie mów... błagali siebie wzajem o milczenie o zatratę pamięci - o zatratę myśli — i nie mogli oderwać się od siebie.

Odkradają życiu jedną z chwil nieopłaconych, po dniach szamotań i nerwowych wysiłków, miłosnych ogni — i obelg.

Ale jemu wolno było mówić jej wszystko.

Andrzej zauważa z półuśmiechem:

— Jakże-to, Magduś? Czyżbym zdołał wskrzesić w tobie część wrażeń dawnych? Nie kochasz mnie... Powiedziałaś mi to dobitnie i dawno.

Magda rozśmiała się.

— Nie kochałam cię nigdy! Powiedziałeś mi to dobitniej i dawniej.

Zmarszczył brwi.

— Tak. — Powiedziałem.

Spojrzał przed siebie — tym wzrokiem pięknym, przyćmionym — temi usty wygiętemi w gorzkie linie — wymówił:

— Jeżeli koło tego, co najpiękniejsze, przechodziłem dotąd senny, jeżeli pragnienie moje nie znalazło dotąd źródła, z któregoby pić mogło — jeżeli ciebie nawet nie kochałem — co dalej?

Bacznie na nią popatrzył.

— Bo przecież ty pozostałaś jedyna, do której zwracam się myślą, ilekroć mi źle i samotnie. I wiem, że i dla ciebie czemś jestem, że coś dla ciebie znaczę... Ale czem? Nazwij mi to!

Wzruszyła ramionami.

— Nie umiem. To co nas łączy, należy do kategoryi uczuć jeszcze nie nazwanych. Dusza ludzka różniczkuje się ustawicznie. Nowy stan psychiczny bywa długo poczuciem, zwolna staje się pojęciem, które dopiero usiłuje wcielić się w słowa.

Andrzej przerwał niecierpliwie:

— Nieprawda! Ty potrafisz.

Wzięła jego rękę w obie dłonie.

— Andrzeju! Zdaje mi się, że są granice, w których lepiejby nam było nieznanymi sobie pozostać. Gdyż jesteśmy ludźmi. A dusze nasze podobne są do grupy tego barbarzyńskiego władcy Rodin'a: Brzeg i fala — tego symbolu stosunków odwróconych — symbolu półkochanków.

Magda wstała.

— Wracajmy — jestem znużona.

III.

Andrzej i Magda przechodzą nad wieczorem ogród kliniczny, pusty o tej porze.

Między nagiemi rózgi drzew stoi wielka, miedziana twarz słońca.

Potem miedziana twarz zalała się jakby krwią z rozciętego czoła i uderzyła krwawą posoką w okna pawilonu waryatów, zbudowanego z czerwonej cegły, z zamkniętemi szczelnie drzwiami i oknami. Wywołuje to wrażenie jakby wewnętrznego pożaru, tryskających płomieni otchłani piekielnej, gdzie ludzie palą się żywcem i mózgi skwierczą. Inne znów okna stoją puste i czarne, jak trumny, jak doły grobowe, jak te dusze szalejące i beznadziejne.

Magda, wsparta na ramieniu Andrzeja, idzie wolno, zamyślona, mroczna, postarzała.

Znagła pyta szorstko:

— Czyś ty dużo krzywd wyrządził?

— Dosyć.

— Dręczą cię? Bo mnie tak często i straszliwie! Nienawidzę życia! Za to, że po drogach wloką się psy zgłodniałe, ślepcy i robaczliwe baby, którym kaszel gra w piersiach. Za nędzarzy, za konających, za zdychające zwierzęta i zdychające dusze.

— Magda! O czem ty myślisz?

Nie prędko odpowiedziała.

— Myślę, że w sferze psychiki jest to samo prawo walki o byt, co w świecie fizycznym. Człowiek zabija człowieka — dusza duszę...

Znów zamilkła. A gdy mówić znów poczęła, głos jej był bez dźwięku, metalu i modulacyi, jakby gwałtem i z krwią wydzierała przyrosłe do dna serca słowa.

— Ja o nim nigdy nie mówię. Jego imienia nikt z moich ust nie słyszy. A przecież... całe bezsenne noce bywa ze mną... Mój ojciec! Wiesz, co to jest skrzywdzić nędzarza? I dlatego teraz i po kres mego życia... W cieniach bolesnych, w mroku łez — jawi mi się biedna, wychudła ręka, co mnie w śmierci godzinie — odpędziła!

— Jakto, Magduś?

— Tak! Kościany wizerunek człowieka, z twarzą podobną Chrystusowi, szkielet duszący się, z pękającą oponą płucną, bez głosu w pustych piersiach, targany głodem we wnętrznościach.

Chrypliwy, cichy głos — zerwał się.

— Z dni mego dzieciństwa, odkąd pamięcią sięgnę, płacz słyszę. Słyszę słowa ostre, wyrzuty gorzkie. Miota je mężczyzna z nerwowym śmiechem zadowolenia na ustach i krwawemi łzami w źrenicy. Widzę kobietę, sto razy padającą czołem o podłogę, w ciężkiem omdleniu, pod gradem wymówek i obelg.

— Matka twoja?

— Matka moja... Dziecko ubóstwiało tę matkę — serce jego darło się jak serce człowieka, — trzęsło się i zaciskając drobne pięści, nienawidziło! nienawidziło! Tego dręczącego i udręczonego, biedaka, wytrąconego z normalnych warunków życia, zszarpanego newrozą straszną, łamanego wpół kurczami osłabienia, a z mózgiem twórczym i potężnym, z sercem, wydanem całkiem na ofiarę, — za naszą wolność i waszą.

Urwała.

— A nadewszystko — rozumiesz ty? Niebyć kochanym przez nikogo.

— To — rozumiem... — rzekł Andrzej.

— A to — rozumiesz? Że takie dziecko — przez takiego pół-trupa odpędzone — musi dążyć do expiacyi, musi podjąć trud jego i prace jego i imię jego — z pyłu półzapomnienia, gorszego niż zapomnienie zupełne. A to rozumiesz? Z łonem matki sprzęga nas coś niewidzialnego, podobnego do tych pasów krwi, ścięgien i nerwów, jakie łączą zrośnięte bliźnięta, których żadna operacya nie rozdzieli, bo w tym węźle potwornym tkwi sprzęg sił żywotnych, każde szarpnięcie targa własne trzewia.

— Przestań... Magda!

— Chcesz mnie znać — znaj mnie! Nie tylko z erotycznej strony. Są inne wpływy i oddziaływania. Człowiek jest wielką wypadkową...

— Do czego zdążasz?

— Ha! ha!... Była chwila, że chciałeś podzielić ze mną życie — i była inna, żeś chciał śmierć podzielić.

Spojrzała na Andrzeja. Miał usta lekko skrzywione — ironią czy niesmakiem, z pod wargi skurczonej bielały zęby w mroku.

— Andrzeju — nie! Tego ty nie zrozumiesz. Jeden ty! Ciebie matka nie kochała.

Zmarszczyła brwi.

— Czy nie uważasz przypadkiem, że gram komedyę? Czy cię mój patos nie razi?

Andrzej z rysami ukrytemi pod cieniem kapelusza, przystanął przed kioskiem z plakatami, oświetlonym z góry.

— Nie — rzekł twardo. — Ale jestem egoistą. Pewnych strun nie potrąca się — pewnych refleksyj człowiek długo nie zniesie. Trzeba je przerwać — śmiercią, — upić się, lub pójść do cyrku.

Wskazał laską jaskrawy afisz, gdzie z głębi purpurowego tła — woltyżerka w kankanowym skoku rozwiewała gazę swych spódniczek.

I poszli — do cyrku.

IV.

Doktór Sielawa mieszka bardzo pięknie.

Dom jest staroświecki, zrujnowany, ale wielkopański, o sieni wielkiej, ciemnej, z kamienną posadzką, z nyszami w grubych murach, z tarczami herbowemi u sklepienia.

Schody są szerokie, majestatyczne, o bardzo niskich stopniach zaokrąglonych, ciemnym dębem wykładane ściany, oślepłe zwierciadła na załamach piąter, z których wnętrza, z pośród ram zczerniałych i złoconych — występują naprzeciw idącego odbicia blade, zielonawe, zmętniałe, jak własna dusza, naprzeciw nas idąca.

Nie ma tu ani w sieni, ani w całej klatce schodowej żadnego okna, lecz wybiega wązka, otwarta przestrzeń do wysokości czwartego piętra, jak wnętrze studni lub wieży — nad którą zamiast dachu wznosi się wielościenna kopuła szkieł kolorowych, pyłem przyćmionych, z których w głąb ciemną zstępuje sto tęcz, jak sto aniołów.

Magda szła z głową wzniesioną ku tym witrażowym blaskom, aż na drugiem piętrze stanęła przed drzwiami Sielawy.

Andrzej był w domu i powitał wchodzącą z radością ogromną.

— Przyszłaś! Jakto dobrze. Zjemy razem obiad.

Jakoż zasiedli do niego we dwoje, w jadalni obszernej i poważnej, jak wszystkie pokoje w tym domu, a zasiedli w nastroju wesołym i z dobrym młodym apetytem.

Magda gra rolę gospodyni przy tym ich obiedzie, nieledwie wyglądającym na obiad młodego małżeństwa, gdyby ton gawędki nie przypominał raczej dwóch dobrych kolegów.

Czas schodzi im niepostrzeżenie na rozmowie lekkiej, ulotnej, a przecież oderwanej, ich własnej. To był Magdy wdzięk i wada — że tylko tak, tylko we dwoje, — rozmawiać umiała.

Gdy wstali od stołu — był już wieczór.

Stary Jakób, służący Andrzeja, przeszedł przez pokój z naręczem drzew suchych, ku wielkiemu, staroświeckiemu kominowi.

Zabłysnął purpurowy płomień, zrazu cichy, zwinny jak płaz, potem zahuczał jak puszczyk, załopotał łopotem nietoperzych skrzydeł, otwarła się czeluść ognia, zamigotały na dnie oczy smoków, karbunkuły iskrzące, na złotych błonach — w mroki, w dym — wzleciała bajka-czarownica...

W pokoju zupełnie ciemnym, potężniejące ognisko — jak krew — lało królewski blask, strach i czar...

Magda podeszła do ognia, z uśmiechem trochę dzikim, zakrzywiając palce, jak szpony.

— Hu! hu! — jak huczy ogień — jak skrzypi mróz za oknem — jak wicher wieje po borze — jak iskrzą się w łozach ślepia wilcze! Głodne, wściekłe, z zapadłemi brzuchami wilczyska... Czy widzisz je?

Andrzej śmiał się.

— Widzę ciebie, czarownico młoda. Umiesz kląć płomień, by przemieniał twą urodę. Rozróżowił ci twarz, rozzłocił ci oczy, że jesteś jak zachód i róża.

Magda zmieniła wyraz. Teraz wyciągnęła się wygodnie w kołyszącem się krześle mahoniowem, stopy w wysokich lakierowanych bucikach oparła o żelazną, nizką kratę kominka.

U nóg jej Andrzej położył się na wpół, na skórze brunatnego niedźwiedzia, rozciągniętej przed ogniem.

— Mów, opowiadaj.

— Co?

— Co chcesz sama.

Milczała chwilę — naprawdę rozmarzona.

— Czy przypominasz sobie Andrzeju, w kawiarni. Ten piękny, wielki pan, o ustach Borgiów — i to dziecko-kobieta, na jego kolanach? Cudowna niepokojąca grupa. Zawdzięczam im całe godziny marzenia.

— Mów, opowiadaj... — powtórzył.

— Widzisz, ten pan, to zapewne zwykły poszukiwacz niezwykłych zadowoleń — a to, bezmyślna papużka, dziecko ulicy. Ale może i nie.

— Cóż ty z nich stworzysz?

— Kierkegaarda — uwodziciela dusz, ale o kilka tonów głębszego, o kilka stopni bardziej zmodernizowanego. Słodkie, kobiece dusze wikłać i łamać z perfidyą i chłodem, już mu nie wystarcza. Ten wielki pan zapragnął partnerki godnej siebie. Sam ją stwarza. Spotkał dziecko, małą księżniczkę umysłem i ciałem. I oto stała się jego uczniem. Do dziecka dwunastoletniego przemawia jak mężczyzna do kobiety, a razem, jak mózg do mózgu. Prowadzi ją z celem ściśle określonym, po drodze odrębnej, — prowadzi ją wprost na szczyty umysłowości i zmysłowości. Prowadzi ją w tajniki filozofii i fizyologii, psychologii i psychopatyi, zrywa wszystkie zasłony, wskazuje wszystkie otchłanie. Patrząc spokojnie, jak mu wyrasta na istotę niepodległą żadnemu autorytetowi niezawstydzoną niczem — wiedzie to samo życie, niedbałe i cyniczne — demona użycia, — ćwicząc wszystkie władze umysłu świetnego i niepokonanego, jak dłoń szermierza, do granic ostatecznych, na oną chwilę, gdy w posępniejącym cieniu jego lat czterdziestu, ujrzy zwrócony ku swej piersi sztych mistrzowski — młodej „precieuse'y“. Napiszę to kiedyś.

Trwa długie milczenie.

Przerywa je Andrzej, patrząc w ogień.

— Uderzała mnie zawsze zmysłowość twej wyobraźni, w przeciwstawieniu do chłodu niespodziewanego i wrogiego — wobec rzeczywistych życia zdarzeń. Dzisiaj, Magdo, gdy od naszego romansu sto lat nas dzieli, może mi ten problem rozwiązać zechcesz?

Magda milczała. Stare rany otwarły się w jej pamięci, stare, piekące rany.

— To dosyć proste. Chociaż i ja znacznie później to zrozumiałam.

— Powiedz!

— Poprostu rozwój naszych uczuć nie był równomiernym. Zdaje mi się zresztą, że każda miłość przechodzi te fazy. Tylko my jesteśmy bardziej krańcowi, więc rozdźwięk wypadł dobitniej.

Spojrzała wprost — trochę posępnie.

— Była chwila pewna, o której dziś wiem, że była momentem przełomu. Tyś kochał miłością świadomą, męzką, ja — nastrojem kobiety, która nie zna jeszcze owego drgnienia, co decyduje o miłości. Ja cię zapewne w tej chwili kochać zaczynałam, tyś mnie może wtedy kochać przestawał.

— Dałem ci prawo do krwi mojej, do życia mego, złożyłem ci daninę z mych nerwów, — więcej dać ci nie miałem.

— Ja ci nie dałam w zamian — nic.

— Nie byłaś obowiązaną dawać mi szczęścia.

— Nie byłam obowiązaną.

Milczeli. Zwolna zdawali się zapominać o własnej obecności. Ogień przygasał.

To był taki inny wieczór, jeden, słodki wieczór.

Magda siedziała na brzegu wązkiego łóżka, nad którem skrzyżowano parę rapirów i rękawic do szermierki.

Właśnie na ułożonych wysoko poduszkach wsparła drogą głowę swego Jędrka, głowę zakutą w białe bandaże, sposobem rycerskiej misiurki.

Z pod nisko zarysowanych złotawych linij brwi, świeci wśród krótkich

rzęs dwoje oczu błękitnych, z których idą skry, z rozpiętego rękawa koszuli wyziera ramię muskularne, gdzie-niegdzie ozłocone jasnym, krótkim włosem.

Podciągnęła mu kołdrę pod szyję i otulała starannie. Uśmiechał się pieszczony, uśmiechał cicho, jak dziecko słabe.

— Tak, tak, przemówił. Otul mnie, popieść, pochyl się nademną. Jak matka nad kołyską.

Ona uczuła w twarzy ciepło, bijące od serca na policzki i skronie.

Patrzył na nią teraz z powagą ogromną, z jaką działają zawsze siły natury.

Patrzył na nią nieprzestannie — w tętnach najsłodszego wzruszenia życie odczuwającą.

Śledził w jej rysach tę głęboką i ciepłą jasność, to przeczucie macierzyństwa, tak cudne w kobiecie, która nie zna rozkoszy.

Ona patrzyła na jego usta — pszczoła miodu pragnąca.

Usta twarde w rysunku, nie purpurowe, raczej przyćmionym karmazynem i skrytą męką drżące.

Porwał się — usiadł.

— Cudo moje... kochanie moje...

Wziął sobie jej głowę w ręce i całował.

Coraz mocniej, coraz namiętniej, do bólu.

Oderwała się od niego.

— Czemu tak drżysz? — położyła mu rękę na ramieniu. — Połóż się... Masz gorączkę.

— Nie, nic... — szeptał przez zęby.

— Chodź tu! niepohamowanie rzucił.

Przygarnął ją całą — przycisnął do piersi drgającej szalenie.

Wsparta na jego sercu, słyszała jego gorące, dzielne tętno.

— Czy ci dobrze? czy ci pewnie? Tak będzie ci zawsze. Ty — mamusiu! droga, słodka, święta...

Szum czuł w skroniach, w żyłach płomienie, w sercu tkliwość nieskończoną.

Przeginał ją lekko ku wezgłowiu — jak się przegina pręt liliowy — ku stopom, by go skruszyć.

— Nie!... nie! — broniła się.

— Moja kochanko! Żono! moja żono.

— Boję się... — łkała prawie.

— Nie bój się... Dziecko!

Głos mu się załamał — szalonem nagięciem litości dla czegoś słabego wzruszeniem niewysłowionem.

I znowu jej imię, wymówione przejmująco — jak gdy nerwy pękają.

— Magduś!!

Na piersi jej ukrył twarz, zmienioną bólem tej chwili.

— Moja! — Dziś albo nigdy! — wymówił chrypliwie.

— Więc — nigdy!

Podniósł głowę. Blady był, pot świecił mu na czole, sine pręgi rozrywały skórę.

— Idź.

Odchodziła. Trzęsła się i dygotała z wysilenia — idąc, opierała się o sprzęty. Z głuchym, strasznym żalem, z nieurodzonem, żałobnem przeczuciem w sercu.

Z głębi pokoju, z głębi mroku, może z głębi jej własnej duszy — usłyszała:

— Przyjdzie litość twoja, przyjdzie... Spotka się we drzwiach z odchodzącą miłością — a może i życiem.

V.

Słońce świeci tak miłe przez zapuszczone szarawe zasłony w głąb salonów niewielkich, czyniących wrażenie prywatnych, wykwintnych apartamentów.

Nieregularnie rozmieszczone obrazy przerywa gdzieniegdzie to dywan tkany Christiansen'a, z krajobrazem pojętym jako nastrój, to jakiś mebel z pracowni artystów Aschbee, Van der Velde, Charpentier, Orasi, w rysunku wyszukanie prosty i naiwny, w kolorycie niezwykły i dyskretny.

Na podłużnych blatach stolików z drzew kosztownych: fiołkowego, cytrynowego, limby i amarantu, leżą Elzewiryty starożytne, to modernistyczne przepyszne wydania na czerpanym papierze, z archaicznemi okładkami z pergaminu, nowożytnych magów symbolizmu, dekadentyzmu i intuicyonizmu.

Torsy, ułamki rzeźb — gromadzą się w nieładzie pod ścianami, jak pogruchotane w twórczem niezadowoleniu pomysły — ciśnięte w kąt pracowni.

Magda obu rękami oparta o baryerę, głowę zwiesiła nisko, z pod wpółprzymkniętych powiek ciężkie spojrzenie utkwiła w obraz.

Maxa Klinger'a, z cyklu: Śmierć.

Twarde, obciągnięte posłania, prześcieradło w drobne zgięcia zmięte, wszędzie krew, plamy i bluzgi krwi.

Ta — która ma serce do kochania, łono do cierpienia, oczy do ronienia łez — leży przed niemi, biedny trup.

Koszula odwinięta do kolan, odkrywa nogi zbłękitniałe, ściśle zsunięte, ręce ma sztywnie wzdłuż ciała ułożone.

W nogach łóżka miednica na niskim stołku, pełna szmat krwawych, gąbka... Niewyraźna jakaś postać unosi dziecię.

Andrzej uczuł na swej ręce dłoń Magdy, jakby szukającą oparcia.

— Potem mi powiesz?

— Tak... — zaledwie wymówiła.

Potem stanęła przed obrazem Edelfelt'a.

Kwietniowe popołudnie — nierozbudzona wiosna — z bladawem niebem i słońcem.

Wielka, siwa woda, płowy brzeg, żółtawą trawą zeszłoroczną porosły. Kilka prętów brzózek młodych, wilgotnych jeszcze i nagich — i blade, słodkie główki fiołków u ich stóp trwożnie na świat wychylone.

Po siwych wodach włóczą się mgły, opary jakieś błękitniejące, jak cudowne pajęczyny.

Młodość, niezmierna młodość tych brzózek, wypuszczających pierwsze lipkie pąki, dziecinna naiwność kotków wikliny, wyzierających jak małe dzieci z pękających łupek, ogromna, sędziwa starość siwych wód, nakrytych opalizującą siatką blasków — i mgły pajęcze, starożytne — i niebo blade, blado lazurowe.

Kobieta klęczy w łzawem, świętem zachwyceniu.

Zgięta czcią, z kosmykami włosów z pod chustki w tyle głowy związanej wymkniętemi, w guni sukiennej, ciemnej, z ubogim sznurem paciorków

bursztynu na wynędzniałej piersi, podnosi splecione, szorstkie, spracowane ręce i wypłakane, wpół oślepłe oczy — ku Niemu...

A On — człowiek umęczony aż do śmierci, z pewną sztywnością osłabienia w postaci o pochylonych plecach, z głową opuszczoną głęboko na piersi, z oczyma przymkniętemi, z wpadłemi skrońmi, na których przylegly kosmyki włosów pół-ciemnych, odziany w świtę białą, płócienną, powrozem lnianym przepasany, w postołach lipowych, jedną wychudłą rękę wsparł na wysokim kiju sękatym, drugą, drżącą jak liść, wzniósł nad tem biedactwem, co mu się u stóp cisnęło: Pokój ci.

Magda cofać się poczęła wstecz, aż oparła się o wyciągnięte ramię Andrzeja, który objął ją i zlekka przycisnął.

— Magdalena... zaczął z cicha.

Zaraz opuścił rękę, bo ktoś nadchodził.

Szli dalej.

Aż objawiła im się „Wiosna" Botticelego.

Wielka, prosta i somnabuliczna, stąpająca w sennym ruchu nieporównanej lekkości, roślinną stopą, wąską, matową, cienką w kostce.

Kobieta eteryczna i wysmukła, utkana z samych nerwów i matowego światła — ma bladą głowę, bez krwi, bez blasków i barw.

Twarz jej podobna twarzom wykopalisk, z niedostrzegalnem uwarstwieniem cudownej patyny wieków. Zbutwiały mech zdawał się porastać na tej czaszce, robak ziemny prześlizgał się po tych powiekach, starożytne śniedzie wżarły się subtelnemi, jak pajęczyna, rysami około ust i skroni.

Raczej szczególna, niż piękna, straszna istota, najzupełniejsza i najniezupełniejsza, jaka być może.

W pełni życia, nie wie, czy żyje — ta wiosna, czy ta melancholia...

Jest jakby oddalona, od zdarzenia, którego jest przedmiotem, od człowieka, z którym mówi, od myśli, którą w sobie nosi, od czynu, który spełnia.

Andrzej rzekł do Magdy:

— Tyś jest jak ta Wiosna...

VI.

Sielawa gra:

...„śmiej się, pajazzo! — tobie płakać nie wolno!..."

Za krzesłem Andrzeja stoi Magda.

Ma długą, luźną bluzę, łamiącą się w proste linie, włosy zaczesane na skronie z prostotą.

Znagła pochyla się — wpija w kark mężczyzny pocałunkiem wampira.

Struny fortepianu, targnięte gwałtownie, drgnęły, jak nerwy człowieka — jeszcze kilka taktów straszliwej melodyi prześlizgnęło się po klawiszach i już skonały zadławione, bo Andrzej opuścił ręce na klawiaturę, drżąc — przeniknięty do rdzenia sataniczną rozkoszą pocałunku.

Po długiej chwili:

— Magda?...

Andrzej pochwycił silne w kostce obie jej ręce. Kobieta roześmiała się przeciągle...

— Nie graj Pajazzów... nigdy!

Wywinęła mu się z rąk, wzięła lampę i przeszła do gabinetu Andrzeja. Postawiła lampę na biurku i sama przy niem usiada, opierając się obu łokciami o amarantowe sukno.

Ciepłe światło objęło jej głowę wychyloną, jak pieszczotą rąk łagodnych gładziło jej włosy, miękko przyległe do skroni, szare, brunatne, jakiegoś niezmiernie estetycznego odcienia, jak spłowiały aksamit orzechowy.

— Czy to prawda, Andrzeju? Za pomocą skombinowanego działania narkozy i suggestyi można podobno wywołać pewne stany psychiczne, nastroje ściśle określone?

— To — zabawka, która może kiedyś stać się nauką...

— Wiesz? Na tej drodze możnaby dojść do rozwiązania kwestyi miłosnej.

— Co? A! zapomnienie? wzniecanie dowolnnych uczuć? Ależ — głupstwo.

— Zapewne. Ale jako chwila, jako rodzaj upojenia... Czy zaprzeczysz, że nie mogłoby tu być porównania z żadnem ze znanych?

— Upój mnie... — rzekł Andrzej. — Nie znam skombinowanej metody, o jakiej mówisz, ale — każę ci przynieść... szampana!

Magda wstała.

— Ja cię i tak upoić potrafię.

— Może ci się to wydało brutalnem?

Obojętnie rzuciła.

— Dlaczego? Ale ja o czem innem myślałam. Demon liryzmu... Chciałam upoić tego demona.

— Demon liryzmu... — powtórzył.

— On w nas żyje... Mglista, nadludzka namiętność. Być może, żeśmy się wcale nie kochali...

— Nie wiem, Magda, nic znów nie wiem... — rzekł Sielawa.

Usiadł na sofie i patrzał przed siebie.

— Bądź co bądź, tak nam się wtedy zdawało... — dokończyła tonem lekkim.

— Jedna rzecz pozostaje niezaprzeczoną — rzekł Sielawa prawie gniewnie. — Żal tych chwil niewykorzystanych, które mogły być nietylko piękne, ale jedyne...

— Niewykorzystane... z mojej winy?

Dokończenie nastąpi.

Luźne uwagi o krytyce literackiej.

I. Ciekawy czytelnik pochylony nad grubym tomem, mającym przeszło czterysta stronic tekstu, otrzymuje w r. 1905 na pytanie: „Co to jest krytyka literacka i czem się zajmuje?“ następującą stanowczą odpowiedź, pochodzącą z połowy minionego stulecia: „Krytyk, to człowiek, którego zegarek wyprzedza wszystkie inne zegarki o pięć minut“ (Sainte-Beuve). Kto dzisiaj na takie pytanie daje taką odpowiedź, ma widocznie zegarek nakręcony i nastawiony na rok 1850 lub 60 (nie wiem dokładnie, w którym roku Sainte-Beuve te słowa lotne wydrukował). Tem zaś zdaniem, dosłownie, kończy się czwarty i ostatni tom „Piśmiennictwa polskiego 1880 – 1904 *)“, zawierający rzecz o „współczesnej krytyce literackiej w Polsce“. Postęp, jak widać, nieszczególnie wielki. Pięć minut zostało na miejscu w posób nieodwołalny. U francuskiego pisarza

*) Lwów 1905. Nakład księgarni H. Altenberga. 4 tomy z okładką kompozycji Wyspiańskiego.

ta przenośnia była określeniem pragnienia, była raczej bezskutecznem westchnieniem; i jakby fatalnie umieścił ją p. Feldman na końcu swego tomu, jako zapewnienie również bezskuteczne. Byłby niejaki postęp, gdyby zdanie nieco zmienić, w tym sensie przynajmniej, żeby miasto 5 minut, powiedzieć minut pięćdziesiąt. Przyrost, myślę, nie byłby zbyt wielki, skuteczność aforyzmu nie byłaby większa (to zn. aforyzm nie odpowiadałby bardziej jak dawniej rzeczywistości, tym 400 stronicom, które go poprzedzają), ale byłby postęp! Tych kilkadziesiąt minut, dodanych do piątki, określałoby dobitnie wielkość drogi przebytej przez aforyzm francuski. Otóż w tem zdaniu francuskiem mieści się jedyna odpowiedź na pytanie ciekawego czytelnika. Przez ciekawego czytelnika należy zawsze rozumieć autora.

Odrzuciwszy zaś wszelkie przenośnie i cyfry, które domagają się, nieszczęsne, ciągłych zmian, staniemy wobec sprawy wyprzedzania, poważnej. Wyprzedzać, znaczy nie: wyprzedzać swoją epokę (jak mówią i piszą powszechnie), lecz epokę minioną, a to jest rzeczą zarówno naturalną, jak niezwykłą i trudną. Można powiedzieć, że pewna ilość ludzi wyprzedza epokę minioną, inna nie wyprzedza, czyli powtarza w przybliżeniu epokę dawną. Więc, że nikt nie wyprzedza swego czasu, ponieważ siebie samego wyprzedzać nie można (trzeba koniecznie iść z sobą w parze), lecz wyprzedza innych ludzi, pogrążonych ciągle jeszcze w epoce minionej, a to, raz jeszcze, jest rzeczą naturalną, chociaż niezwykłą i trudną. Inni nie idą naprzód. Z tego punktu widzenia, zdanie francuskiego pisarza odnosi się nietylko do krytyków, ale do wszystkich wogóle ludzi, żyjących prawdziwie; więc żyjących sprawami ducha (sztuką, nauką itd.), sprawami, które domagają się nieprzerwanej ciągłości i nieustannego wyprzedzania przeszłości. Atoli roztrząsanie takiego zdania do niczego nie wiedzie: u Sainte-Beuve'a jest jasne, określa autora doskonale. Lecz umieszczone w książce z r. 1905, musi mieć znaczenie nieco inne, pełne, dokładne. W przenośni zbyt ogólnikowo rzuconej, każdy umysł dopatrzy się innej prawdy, bo swojej prawdy, dlatego jedynie przenośnia jak najściślej przylegająca do rzeczy, może dać prawdę. Przenośnia Sainte-Beuve'a nie przylega ściśle do rzeczy, więc powtórzyć ją można, ale nie w tymsamym kształcie. Trzeba ją rozebrać i zwrócić autorowi, cofnąć ją do r. 1850, dziś się przydać nie może.

To zdanie mogło być doskonałem hasłem; jak wszystkie hasła mówiło o rzeczy jednej, a wskazywało na inną; mówiło pozornie, wskazywało pozornie: było hasłem, to zn. istotą, która skuteczności szukała w przyszłości, w otoczeniu, w towarzystwie, ponieważ jej w sobie nie miała. Mogło zaś brzmieć w szczegółowym wypadku tak: kto np. w 1860 r. nie podziwia poezyi W. Hugo (to zn. kto ośmiela się jeszcze pisać poezye na własną rękę), tego zegarek opóźnia się znacznie. Nikomu oczywiście nie przeszło przez myśl, że mógł się opóźniać zegarek W. Hugo. Istotnie też zdanie to ze swojej istoty odnosi się do nowych poetów, a kieruje się ku czytelnikom; jestto zdanie zamaskowane. Ludzie, którzy je przeczytali w swoim czasie, ulegli gwałtowi, zaczęli na oślep podziwiać. Ten podziw, rozszerzony na liczne grupy towarzyskie, wyrażał myśl: krytyk utorował drogę poecie! Jakże wielki! Sainte-Beuve nigdy nie stwierdzał postępu myśli poetyckiej lub artystycznej. Nie znajdzie u niego zdania, że to lub owo dzieło zawiera przynajmniej zaczątki dalszego pochodu poezyi czy literatury. Corneille, Racine w tragedyi zrobili wszystko i naród francuski może żyć tą tragedyą zawsze. Sainte-Beuve powiedział, jednem słowem, co powtórzył znacznie później Tarnowski, że nie trzeba żyć: wszystko już zrobione i to

jak najlepiej. Wszelkie zaś porywy są albo karygodne, albo wprawdzie chwalebne, ale właściwie niepotrzebne. Te umysły rozmiłowane w literaturze pragnęły śmierci literatury. Literatura poszła naprzód i idzie ciągle, a zegarki tych ludzi stoją na miejscu.

To hasło zostało hasłem w „Piśminnictwie polskiem". Brzmi zaś w szczegółowym wypadku np. tak: Kto nie podziwia „imperatywnej liryki" (co to znaczy?) Żeromskiego, tego zegarek opóźnia się znacznie. A może opóźnia się zegarek Żeromskiego, a więc i krytyka? Pytanie niebezpieczne. Wymaga bowiem stanowczego stwierdzenia, np. takiego: Żeromski wyprzedza Słowackiego. Trudno się ważyć na takie stwierdzenie z dwóch powodów: 1^0 można powiedzieć zdanie nieścisłe, 2^0 można powiedzieć zdanie zbyt śmiałe. Wiadomo bowiem, że Słowacki jest niezrównany. Tymczasem o dorównanie lub niedorównanie nie idzie. Pojęcie „wyprzedzać" nie jest porównawcze: wyprzedzać przecież nie znaczy być wyższym lub niższym, lecz: być innym, oryginalnym, samodzielnym. Gdyby krytyka zechciała i umiała ściśle odgraniczać pojęcia, nie padałaby ofiarą tak fatalnej nieśmiałości. Nieśmiałość jest, zdaje się, niedomaganiem logicznego myślenia. Nieśmiałość nie wie, że można szanować i kochać przeszłość, ale, że razem można być od niej niezależnym, że można nie być jej niewolnikiem. Ta nieszczęsna nie wie, że można „Popioły" umieścić w epoce pseudoklasycznej literatury końca XVIII i początku XIX w. i z tej perspektywy patrzeć na nie, jako na szanowną przeszłość. Trudność ustanowienia takiej perspektywy tkwiłaby jedynie w tem, że są tu już rezultaty późniejszego pochodu literatury.

Otóż więc to hasło, w szczegółowym wypadku brzmi: kto ośmiela się na własną rękę pisać powieść, tego zegarek opóźnia się. Ośmielił się Irzykowski i za to w III tomie „Piśmiennictwa", w nocie doczepionej do stronicy, otrzymał srogą naganę, wygłoszoną językiem tak beznadziejnie dziennikarskim, że kto chce zdać sobie sprawę ze stylu dziennikarskiego, może udać się do tych czterech tomów „Piśmiennictwa", jako do źródła najlepszego. Idzie tu oczywiście o sam fakt. Zdanie francuskiego pisarza w tym właśnie wypadku jest przerażająco puste: na nic się nie zdało. Nasz krytyk nie tylko nikogo nie wyprzedza, ale pozostaje daleko w tyle, ponieważ właśnie powieść Irzykowskiego (chociaż jeszcze nie jest powieścią nową zupełnie), do nowej powieści zdąża prawdziwie.

Ta przenośnia Sainte-Beuve'a ma jeszcze inną stronę: tu prawdopodobnie natrafimy na właściwy jej sens. Znaczy bowiem tyle, że krytyk wówczas dopiero spełnia swoje zadanie, gdy zjawiska literatury sobie współczesnej umie rozważać z pewnej oddali historycznej, gdy, jednem słowem, umie patrzeć oczyma przyszłego pokolenia. Tak pojęte, to zdanie jest absurdem. W ten bowiem sposób to, co nazywa się przyszłem pokoleniem, potomnością, istnieje już dzisiaj. Nie można się wmyślać i wczuwać w inne formy, żeby niemi nie być odrazu, tembardziej, gdy te inne formy jeszcze nie istnieją. Tak pojęte, to zdanie mówi, że krytyk reprezentuje przyszłe pokolenia, że sam jest przyszłością. To samo mówią o wszystkich ludziach genialnych, nie bacząc, że każdy umysł wielki i szeroki jest wielki i szeroki właśnie na tle i w ramie swego czasu. Dlatego każde dzieło, ściśle należące do swojej epoki, więc wyprzedzające epoki dawne, a nie krępujące następnych, należy do wszystkich czasów. To zdanie francuskiego pisarza chce skrępować pokolenia, które prawdopodobnie nastaną, chce, żeby te pokolenia powtarzały bezmyślnie, a nie szły naprzód śmiało.

W sprawach t. zw. oceny krytycznej, która, rzec można, jest dość obojętna, ocena wygłoszona w 1855 r. w imieniu pokolenia z 1900, jest co najmniej absurdem. Nie znaczy bowiem, że krytyczny zegarek wyprzedzał inne o pięć minut, lecz, że pokolenia z 1905 powtarzają bezmyślnie, nie zadając sobie trudu zrewidowania pojęcia, tzn. stworzenia nowego. Zbytnio podziwiają.

Można powiedzieć, że każdy krok naprzód we wszelkich dziedzinach życia, jest następstwem myśli krytycznej, że więc krytyka jest faktem naturalnym, powszechnym i nieodłącznym od życia. Sam fakt, że w tej lub owej dziedzinie — więc i oczywiście w dziedzinie krytyki literackiej — ktoś coś robi, wysila się, dąży, świadczy o istnieniu myśli, jako nie wszystko jest zrobione w tej dziedzinie. Lecz o tej sprawie powszechnej, która, jakby ktoś powiedział naukowo a nieściśle, tkwi nieświadomie na dnie każdej działalności, nie może być mowy w tych uwagach. Ani też o analizie krytycznej, którą przeprowadza każdy prawdopodobnie artysta, mający wykonać jakiś pomysł. Ta analiza bowiem już tkwi w samym pomyśle i trudno rozstrzygać, czy powstaje przedtem, czy nastąpi potem. Trzebaby powiedzieć, że niema tu właściwie następstwa zdarzeń, lecz, że się obie sprawy odbywają równocześnie i tkwią razem w każdym szczególe wykonania. — Lecz mamy mówić o krytyce literackiej, więc o gałęzi wytwórczości piśmienniczej, która ma swoją przeszłość, swoje dążności naturalne. Trzeba kroczyć powolnie, może w drodze pojęcie określi się samo i wyjawi.

Należałoby najpierw zadać pytanie: czy istnieje krytyka literacka, a więc pewna gałąź piśmiennictwa, która zajmuje się śledzeniem idei literackich, oraz ich losów w ciągu stuleci. Ktokolwiek takie pytanie, trącące bezwzględnością, nieprawdaż? zada nieopatrznie, otrzyma odpowiedź następującą: Mylną jest rzeczą szukać w życiu pojęć i wartości bezwzględnych, życie jest względne i wszystko jest względne. Pytacie, co jest krytyka? Nie wiadomo. Może być tem i tamtem i jeszcze innem. Dzieli się zaś (jak wykazał tom IV „Piśmiennictwa polskiego“) na: 1^0 utylitarno-społeczną i racyonalną, 2^0 realistyczną, 3^0 metafizyczną, 4^0 moralizatorską, 5^0 impresyonistyczną, 6^0 historyczno-filologiczną. — A co to jest krytyka literacka? — Takiej niema.

Ta istnieje w mózgach filozofów, którzy, straciwszy grunt pod nogami, niepomni praw rządzących ziemią, unoszą się ku gwiazdom. Krytyka literacka jest wymysłem. Można go ostatecznie umieścić na okładce książki, ponieważ taki tytuł głosi: to pojęcie „krytyka literacka„ streszcza w sobie wszystkie te odmiany, o których w książce mowa, ale na seryo brać go trudno. — Ależ wcale nie streszcza, to zupełnie co innego; ten tytuł figuruje na okładce, ale i tam nie jego miejsce. — To są idee zbyt skrajne, nie można myśleć o ich zastosowaniu, życie ma swoje prawa i naiwności nie znosi. Ów naiwny, który zadawał pytania i przeczył, spostrzegł się wreszcie, że można używać tychsamych wyrazów, a mówić o czem innem. Ów naiwny, zdaje się, był krytykiem literackim, któremu może zależało na rozwiązaniu takiego zagadnienia: ci wszyscy, którzy w tej książce nazywają się subjektywistami, impresyonistami, metafizykami itd. razem z tej książki autorem, zajmują się wygłaszaniem pewnych opinij; te opinie mogą się przyjąć u pewnej grupy umysłów, które je będą przez pewien czas powtarzać; potem zaś znikną razem z tymi umysłami, nie zostawiwszy nijakich następców. Przyczyna znikomości takich opinij musi tkwic w tem, że niema w nich ani śladu idei literackiej, powiedzmy opinii wyrażo-

nej w duchu swego czasu i swej istoty. To już nie jest właściwie opinia, chociaż z powodu tonu i nacisku sprawia takie wrażenie.

W r. 1822 Stendhal napisał mniej więcej takie zdanie: Powiadacie, że Homer jest większym poetą od Tassa (oczywiście, że obojetną jest rzeczą, czy większy czy mniejszy, Stendhal nie baczył na słowa, ponieważ miał świadomość, że nie wyraża jedynie opinii). Otóż Homer nie znał miłości namiętnej, Tasso ją znał". To była uwaga prawdziwie krytyczna. Krytyk rozumiał doskonale różnicę czasów, wiedział, czego Homerowi brakło. Homerowi brakło Stendhala, tzn brakło mu idei z roku 1822. — Stendhal nie pomyślał, że można ją Homerowi, więc jego figurom, dać; zdawało się mu, że dla jej wyrażenia trzeba koniecznie zdarzeń i ludzi, więc nazwisk, z r. 1830. Nie był to błąd, lecz pewnego rodzaju jednostronność, która się wyraża już w użyciu przymiotnika „większy poeta„. W owej chwili Stendhal jeszcze nie był poetą. Gdyby był, możeby zadumał się nad Protesilaosem i Laodamią. Miłość namiętną, jako świadomą ideę tragiczną, znalazł dopiero w Homerze Wyspiański. Z całym kompleksem różnic, jakie pociąga za sobą znowu różność czasu i istoty swojej własnej

Z tego widać, czem jest krytyk literacki. W 1822 Stendhal nie mógł dopatrzeć się w Homerze miłości namiętnej, w 1903 krytyk literacki nie może się dopatrzeć w Homerze świadomej idei tragicznej, która jako Sława powiedzie na śmierć Achillesa („Achilleis" Wyspiańskiego), ale ją widzi u Wyspiańskiego; na tem jego zadanie polega. Myśl krytyczna nie dochodzi do wniosku: więc Tasso lub Wyspiański jest wyższy od Homera. Jestto bowiem wyraz upodobania (którego się ustrzedz trudno, co prawda), pewnego poczucia wyższości, gdy tymczasem idzie jedynie o zaznaczenie odrębności i różnic, nie o szeregowanie na skali wartości. Filolog, który zajmie się tą sprawą, orzeknie, że ten Achilles nie jest podobny do Homerowego, inny krytyk przyzna mu racyę, i powie, że wprawdzie niepodobny, ale że poeta nie jest historykiem, więc i t. d. I jeden i drugi zapomnieli, że pytanie pierwsze brzmi właściwie tak: czy Achilles Homera podobny jest do Achillesa? W tem pytaniu mieści się już krytyka, mieści się powzięcie i ugruntowanie nowego pomysłu własnego. Zdaje się zatem, że zadaniem krytyka literackiego jest: stwierdzać postęp i ciągłość idei i rozmaite sposoby ich wyrażania. Wybitną oznaką postępu może być właśnie świadomość wyrażająca się w konstrukcyi zdarzeń, więc w konstrukcyi nowego dzieła. Jestto rzecz niezmiernie trudna, przeszkadza tu najwięcej psychologia, która wtargnęła do literatury dawno już temu i wcale nie myśli jej opuszczać. Krytyk, który zdoła wyzbyć się żądzy psychologizowania na temat tajemnic duszy, może logicznie wysnuć bieg idei i śledzić jej życie w najdrobniejszych wiązadłach konstrukcyjnych. Mówią o nim wówczas, że się odwraca od życia, lecz wszak już wiemy, że można używać tychsamych wyrazów, a mówić o czem innem. W dalszych uwagach o wiele innych spraw potrącimy i rzecz się może rozjaśni.

St. Lack.



Drukarnia Wł. Teodorczuka w Krakowie, Zielona 7.

Wydawczyni i Redaktorka: Marya Turzyma. Z drukarni Wł. Teodorczuka w Krakowie.